

## *Konfesjonat*

Do Kielc przyjechała wczesnym wieczorem. W piątek. Dochodziła trzynasta godzina jej podróży i była nieprzytomnie zmęczona. Marzyła o ciepłej kąpieli i długim, spokojnym śnie w czekającym na nią łóżku, oddalonym jednak w tej chwili o ponad sto dwadzieścia kilometrów od tego miejsca. Mimo tęsknoty i obiecującej informacji, że pociąg do Krakowa odchodzi za około dwie godziny, zmęczenie okazało się silniejsze. Postanowiła zatrzymać się tutaj na noc. Kupiła bilet na poranny pociąg, wzięła taksówkę i pojechała do hotelu.

Nie знаła tego miasta. Raz, co prawda, już w nim była, ale było to bardzo dawno i niezwykle krótko. Tak dawno i tak krótko, że dzisiaj niewiele już z tego pobytu pamiętała. Jedynie nazwa hotelu, w którym się wówczas zatrzymała, nie uleciała jej z pamięci: *Bristol*. Działo to na zasadzie skojarzenia z takim samym obiektem w Warszawie, który w jakiś szczególny sposób polubiła i którego była dość częstym gościem. I mimo że miała do wyboru inny hotel – *Centralny*, stojący właściwie na wyciągnięcie dłoni naprzeciwko dworca, zdecydowała się jednak pojechać w głąb miasta – do tego drugiego o znajomo brzmiącej nazwie. Nie zdawała sobie do końca sprawy dlaczego, jednak czuła, że jakaś wewnętrzna siła tam ją właśnie kieruje. A że już od jakiegoś czasu słuchała głosu intuicji i źle na tym nie wychodziła, więc tym razem również go posłuchała.

Kierowca zatrzymał się. Maria zapłaciła i weszła do hotelu. Recepcjonistka, młoda sympatyczna dziewczyna,

zameldowała ją i wręczyła klucz, życząc przyjemnego pobytu.

Pokój znajdował się na drugim piętrze. Tę odległość musiała pokonać pieszo: budynek był szacowny i gdy go stawiano, nie znano jeszcze takich darów ludzkiej przebiegłości na rzecz lenistwa, jak winda. Mimo to miała szczęście: było jeszcze trzecie piętro. Teraz jednak mozolnie pięła się w górę i czuła się przy tym jak zdobywczyni Mont Blanc. Co najmniej Mont Blanc! Nie wiedziała, co prawda, jakie to uczucie zdobywać podobny szczyt, ale to w niczym jej nie przeszkadzało tak właśnie się czuć. Jedynym plusem tej samotnej wspinaczki był fakt, że nie miała przy sobie żadnego większego bagażu – towarzyszyła jej jedynie mała podróżna torba i przewieszona przez ramię damska torebka.

W końcu stanęła pod drzwiami pokoju. Otworzyła je i weszła do środka. Bezwiednie wypuściła z ręki bagaż i oparła się o drzwi. Po chwili przeszła do pokoju, położyła torebkę na stoliku i siadła na łóżku. Fala zmęczenia spłynęła kaskadą na powieki. Nie miała sił, aby z tym walczyć – położyła się.

Obudziła się po dwóch godzinach, gdy latarnie przywrócono do życia po całodniowej śmierci. Wstała, przeszła do łazienki, napuściła wody do wanny, rozebrała się i zanurzyła w leniwym ciepłe. Lubiła to. Gdy była z „nim”, robiła to dosyć często. Był to jakby niepisany rytuał poprzedzający i kończący ich miłosną grę. „Ile to już lat, Piotrze?” – pomyślała i sięgnęła po mydło. – Dużo. Całe życie. – Zauważyła, że mówi do siebie. – Dosyć. Dosyć! Mario. – Wyjęła z wanny zatyczkę, splukała pianę z ciała, wysuszyła je ręcznikiem i wróciła na łóżko. Czysta i pachnąca wślizgnęła się naga pod koc. Sen przyszedł natychmiast,

niespokojny. Koszmar, który ją nawiedzał od dłuższego już czasu, powrócił i tym razem. Znowu ujrzała tę przeraźliwie pustą salę, białe intensywne światło i siebie, leżącą na łóżku i wijącą się w bólach porodowych, nie mogącą jednak pozbyć się płodu ze swojego wnętrza: nogi miała mocno skrępowane. Ból paraliżował ją coraz bardziej – był nie do wytrzymania. Krzyczała, lecz nikt nie nadchodził, nie reagował, jakby zapomniano o niej. Albo jeszcze gorzej – jakby nie istniała! Potem w nogach łóżka pojawił się „on”. Nic nie robił, tylko patrzył, a jego wzrok nie wyrażał nic – nawet współczucia. Powoli głos jej nikł, zamierał w krtani, wzrok stawał się mętny, mglisty aż w końcu...

Otworzyła oczy. Za oknem czystym dźwiękiem rozbrzmiewała modlitwa dzwonu kościelnego. Spojrzała na zegarek: było wpół do siódmej. Przymknęła oczy. Pod powiekami ponownie ujrzała sen. Niepokój wzmógł się. Na powrót je otworzyła. Koszmar znikł, lecz niepokój nie odszedł – trwał dalej. Nie знаła znaczenia snu, ale cokolwiek on znaczył, przerażał ją. Nie chciała o tym myśleć. Wstała, przyniosła torbę z przedpokoju, ubrała się, wypila resztę wczorajszej jaśminowej herbaty z termosu i wyszła z hotelu.

Przebiegła mikroskopijny parking i znalazła się na ulicy Kapitulnej. Przed sobą – w górze, w odległości około stu metrów ujrzała wieżyczkę przykościelną, pod kopułą której umieszczony był dzwon, a po zewnętrznej jej stronie znajdowała się owa „zegarynka” kościelna, która w tej właśnie chwili oznajmiła za kwadrans siódmą. Ruszyła w tym kierunku. Po chwili była już na Placu Marii Panny. U jego szczytu pokonała jeszcze kilka schodków i przystanęła przy Ogrójcu katedralnym. Obok niej, z różnych stron miasta

sunęły pojedynczo, bezszelestnie, przygarbione ciężarem własnego krzyża i czasu, wspomnienia niedawnej młodości, znikając w bocznym otworze „domu odwiecznej obietnicy”. Podążyła za nimi.

Wewnątrz, jak zawsze i wszędzie w takim miejscu na świecie, panował chłód. Trwały przygotowania do pierwszej porannej mszy. Od czasu do czasu jakiś zabłąkany, nieprzewidziany dźwięk wdzierał się w dostojną ciszę, a akustyka tego miejsca zwielokrotniała jego efekt. Maria przeżegnała się i skierowała w stronę konfesjonału. Zanim do niego dotarła, jakaś staruszka podniosła się z klęczek, z nieskrywanym żarliwym uczuciem ucałowała dół wyhaftowanego na stule krzyża i pełna obietnic ruszyła w stronę ołtarza szczęścia. Przez krótką chwilę Maria obserwowała ją, po czym zajęła jej miejsce.

Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni klękała przy konfesjonale. Nie lubiła tego ceremoniału. Zawsze uważała spowiedź za coś tak bardzo prywatnego i szalenie intymnego, że dzielenie się tym z drugim człowiekiem było dla niej czymś amoralnym i nie na miejscu. Nawet gdyby tym człowiekiem miał być duszpasterz! Tego rodzaju bowiem ekshibicjonizm możliwy był tylko przed samym sobą. Wówczas był on najszczerzy i bez zahamowań. Dzisiaj jednak, mimo że nie zmieniła poglądu na tę sprawę, postanowiła inaczej. Jakby coś niewytłumaczalnego a magnetycznego przyciągało ją tutaj. Od momentu przebudzenia się miała pewność, że musi to zrobić. Nie wiedziała, skąd to przeświadczenie i jak można je wytłumaczyć, i czy w ogóle to coś da, niemniej zdała się na impuls, na „zew natury”, jakby ktoś powiedział. Ale nie

traktowała tego jak spowiedzi. Było to po prostu powiedzenie, zwykle wyrzucenie z siebie tego, co ją od dawna niepokoiło, a nierzadko nawet przerażało!

Ksiądz słuchał jej w skupieniu. Milczał nawet wtedy, gdy zapadała długa cisza i wydawało się, że to już wszystko z czym przysła, że to koniec. Po chwili jednak Maria zaczynała znowu i ciągnęła swoją grzeszną historię sprzed dwudziestu lat, a przed oczyma księdza przewijały się jej obrazy; i były one tak barwne i pełne życia, jakby już je znał, słyszał kiedyś, czy też uczestniczył w nich.

– Tak, było mi z „nim” dobrze i byłam szczęśliwa. Naprawdę szczęśliwa! – Powiedziała to z takim naciskiem, że aż poczuł jakieś bliżej nieokreślone silne ułknięcie z tyłu głowy. Na jego twarzy pojawił się grymas. Ale nie był to grymas niechęci, zgorszenia czy potępienia – był to grymas bólu cierpiącego człowieka. Rozumiał ją!

– A on? – z trudem wydobył z siebie.

– On... Nie wiem. I chyba nigdy nie wiedziałam. Myślałam...

Już jej nie słuchał – znał to. Odpowiedzią był tamten wybór – jego wybór! Dzisiaj wiedział, że był zły, niewłaściwy, że nadal ją kocha. Miłość do Boga była silna, lecz nie na tyle silna, by mogła zniszczyć takie samo uczucie do niej!

– To był grzeszny związek, wiesz o tym – powiedział.

– Grzeszny? Czy miłość jest grzechem? Czy Ojciec naprawdę tak myśli?

Szukał argumentów, ale coraz bardziej był do tego niezdolny. Bił się z myślami.

– Służył Bogu... – powiedział niepewnie.

– Wiem! Ale jeśli nawet, to czy mógł, czy miał prawo skrzywdzić mnie? Zniszczyć naszą miłość?

Znowu chciał odpowiedzieć jakimś wyświechtanym komunałem, wyszukany wykrętem, jednym z wielu, jakimi posługiwał się na co dzień w przeciągu całego swojego duszpasterstwa, ale tym razem nie powiedział nic. Dostyc miał pokrętnych, naciąganych tłumaczeń, dostyc miał kłamstw. Nie chciał już kłamać – tym bardziej jej. Ta kobieta miała rację. To, co teraz czuł, przerażało go: żałował! Żałował zarówno tej, jak i „tamtej” kobiety. Żałował tego czasu, miłości niespełnionej, życia. Żałował swojej decyzji i straconych lat. Właśnie, mimo wszystko straconych! Po raz pierwszy od tamtego czasu tak to odczuwał i to go przerażało. Czuł się na powrót mężczyzną! Nigdy nie przypuszczał, że tak kiedyś będzie myślał. Był cały oddany Panu – swojemu Bogu! I wystarczyła tylko chwila nieuwagi, dekoncentracji i już się zachwiał. Dzięki tej kobiecie zrozumiał, że tak naprawdę, to przez całe życie błędził. Uzmysłowała mu ona, że wybrał źle, że miłość do Boga nie uczyniła tego, czego od niej oczekiwał – nie wypełniła całego jego życia swoją treścią. Ponadto zachowała pamięć. Gdzieś w najgłębszych zakamarkach serca i duszy tkwiła ciągle przygaszona, nieśmiertelna miłość – miłość do niej! Dzięki tej kobiecie po drugiej stronie konfesjonału odczuł żal i pustkę. Jego dotychczasowy świat przestał istnieć, a nowego jeszcze nie miał.

– I jeszcze jedno muszę Ojcu powiedzieć: nie żałuję. Nigdy nie żałowałam tej miłości! Jeżeli w ogóle czegokolwiek żałowałam, to tylko tego, że tak się skończyła.

Zapanowało milczenie. Ojciec Piotr myślał: „Tyle lat, tak wiele lat upłynęło, a ja... ja nie jestem godzien Twojej miłości, Panie!... Jestem...”

– To wszystko – dodała Maria po chwili.

Ale on tego nie słyszał – był daleko stąd. Wybrał się w podróż odległą o przeszło dwadzieścia lat od tego miejsca; w podróż, do której zmusiła go klęcząca przy konfesjonale kobieta. „Kim ty jesteś?” – pomyślał. – „Dlaczego mnie dręczysz swoją historią tak podobną...? Nie, na pewno nie. Głos Marii był inny – jest inny! Pamiętam. Całkiem inny! Nie mogę się mylić. Tamten głos poznałbym nawet na końcu...”

Maria wstała. Czekał jak się pochyli i ucałuje stulę – wtedy ją zobaczy, ujrzy twarz tej kobiety i będzie wiedział, będzie pewny! Lecz Maria nie nachyliła się, nie pozostawiła na kawałku materiału pieczęci swoich ust, nie przeżegnała się. Po prostu odwróciła się i odeszła w stronę wyjścia, w stronę jutra. Nie chciała współczucia, modlitwy, zbawienia – niczego nie potrzebowała i nie czekała na nic. Była czysta, czuła się czysta! I lekka, tak lekka, jakby wszystko to, co ją dotąd dręczyło, zostawiła tam – przy konfesjonale. Na zawsze.

Ojciec Piotr chciał na nią spojrzeć. Przez cały czas spowiedzi wzbraniał się przed tym, walczył z pokusą, teraz jednak czuł że ulegnie – otworzy małe wahadłowe drzwiczki i wychyli się. Ale nie zrobił tego – nie zdążył: kolejny grzesznik zajął z pokorą należne mu miejsce.